

# Ela Binswanger: KOINCYDENCJE. Autobiografia.

## Wstęp

KOINCYDENCJE. Autobiografia

Wstęp

Mój los jest taki: urodziłam się w znaku Lwa dnia 1 sierpnia Roku Pańskiego 1723 na francuskiej prowincji. Nie miałam zamożnych rodziców, ale za to świątłych. Wyposażyli mnie w bardzo staranne wykształcenie, o wiele za staranne, jak na pannę w tamtej epoce. Dało mi to fory, ale też przyczyniło się do wielu cierpień. Tak to jest, jak się odstaje. W młodym wieku znalazłam się w Paryżu i – ponieważ równocześnie natura nie poskąpiła mi urody – stałam się ulubienicą salonów. Zaraz też znaleźli się zamożni adoratorzy.

Tak, taka jest moja karma (tak mi powiedziała pewna paryska karmata, kapłanka buddyźmu, w ośrodku ZEN w Paryżu, w roku 1986). Mam „artistic karmę”, a w swoim poprzednim życiu byłam wielce uczoną metresą. Prowadziłam salon, w którym spotykali się najwięksi artyści i myśliciele moich czasów z Wolterem włącznie.

Zaraz na początku pobytu w Paryżu urodziłam dziecko. Był to syn. A ja miałam 16 lat. O ojcu zamilczę. Dziecko było nieślubne. Postanowiłam mu to wynagrodzić w dwójnasób. Wyrósł na młodego mężczyznę. Pięknego, o złotych włosach, wrażliwego i mądrego.

I zakochał się nieszczęśliwie, niestety, bo ponad swój stan. Nic nie pomogła moja sława jednej z najciekawszych kobiet epoki. Cierpieliśmy obydwój, aż w końcu mój syn nie wytrzymał i ruszył w świat zaleczyć jakoś tę miłość. Miał dokładnie 20 lat. Zaciągnął się w Marsylii na jakiś statek. Po roku przestałam dostawać jakiegokolwiek wieści od niego. Ostatnia była z Konstantynopola. Wyruszyłam na poszukiwanie. Tak trafiłam do Egiptu. Tam brak pieniędzy i choroba zatrzymały mnie na długo. Poznałam tam pewną mądrą starą kobietę, która nie cierpiała mojej sztucznej francuszczyzny, ale która mnie bardzo wiele nauczyła.

Dowiedziałam się, że ostatni statek, na jakim na pewno był mój syn, wyruszył na Morze Karaibskie. W końcu zdobyłam środki, żeby podążyć tym śladem. Podróż była straszna. Na statku portugalskim z niewolnikami. Dużo ludzi umarło. Ja prawie też. W końcu jednak znalazłam się na Wyspach Dziewiczych. I tam dowiedziałam się, że mój syn najprawdopodobniej tam właśnie zginął. W każdym

razie tam się ślad urywał.

Jakoś wróciłam do Francji. Już nie byłam tą wesołą, młodą kobietą. Miałam prawie czterdzieści lat i nic do stracenia. Zarabiałam na życie jako modelka malarzy-artistów. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, aż w końcu trafiłam do pewnego uczonego duchownego, biskupa, dość dużo starszego ode mnie. Początkowo pocieszał mnie duchowo. Jak sama nazwa wskazuje. Prowadziliśmy długie i ciekawe dysputy. Potem zakochaliśmy się w sobie i przeżyliśmy dziesięć lat w tajemnym, a grzesznym związku. Umarł i mnie zostawił. Gdy wybuchła rewolucja, uciekłam z Francji. Umarłam na wygnaniu (choć nie w biedzie, bo zdołałam wywieźć dość dużo klejnotów po biskupie).

Urodziłam się ponownie w znaku Strzelca w Krakowie... i to z tym przeświadczeniem, że nadal kogoś szukam. To poszukiwanie zagnało mnie w końcu do Szwajcarii. Sama ta droga byłaby tematem do powieści, bo było to szeregiem różnych najdziwniejszych przypadków. I kiedy poznałam Martina, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, miałam takie przeświadczenie, że znałam go już o wiele dłużej, niż żyję.

Od początku ciągnęło go morze. Tak więc znowu przebywałam znaną mi trasę Morze Śródziemne - Morze Karaibskie. I kiedy po raz kolejny byliśmy na Małych Antylach, pomyślałam sobie, że oto ta część przeznaczenia się dopełniła: znalazłam w moim mężu syna z tamtego wcielenia i pomogłam mu zrealizować jego zwariowane marzenie o morzu (jest teraz w kanale panamskim [w marcu 2000]).

Któregoś razu wróciłam z kolejnej morskiej podróży i pomyślałam sobie, że teraz kolej na dalszą część życia, już bez Martina, on już ma swoje szczęście. A ja miałam jeszcze coś do załatwienia. Jeszcze chciałam kogoś spotkać, bo zostawił mnie zbyt wcześnie, bo nie mogłam go przeboleć. I oto spotkałam go i w tym wcieleniu. Ale nie tak całkiem bezproblemowo /.../. Umówiliśmy się już na pewno na następne wcielenie, żeby się wreszcie spotkać. A na razie?

Na razie pisze piękne wiersze, choć coraz smutniejsze, coraz smutniejsze.

Oddalaliśmy się coraz bardziej.

Równocześnie też zaczęłam pisać wiersze.

I to był błąd.

A może bardziej zdrada?

Został mi jedynie fragment jego wiersza:

*Uliczka, w której umieram  
drży w południowym słońcu  
kiedy pozujesz  
w pracowni naprzeciwko  
Cieniste wskazówki balkonów  
leniwie wymierzają resztki mego czasu.*

\*

*Zurich, 1 marca 2000*